

Żółciński, Tadeusz J.

"Borejsza i Różański. Przyczynek do dziejów stalinizmu w Polsce", Barbara Fijałkowska, Olsztyn 1995 : [recenzja]

Mazowieckie Studia Humanistyczne 2/1, 252-254

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Barbara Fijałkowska, *Borejsza i Różański. Przyczynek do dziejów stalinizmu w Polsce*, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1995, str. 260.

Są postacie historyczne, i to nie z pierwszego rzędu sceny politycznej, które dramatyzmem biografii bardziej nadają się do powieści aniżeli monografii naukowej. Szczególnie gdy odtwarzając ich biografie, trzeba opierać się na bardzo kruchej i nie dającej się naukowo zweryfikować dokumentacji. Kiedy bardziej należy zawierać własnej intuicji i domysłom aniżeli zeznaniom naocznych świadków, wyznaniom samych bohaterów. Lecz, kiedy mimo tak widocznych braków, ktoś podejmuje się ryzyka napisania naukowej biografii, musi mieć świadomość łatwej przegrania, niemożności sprostania wymogom pracy naukowej. Wówczas też praca taka przemienia się albo w literackie science fiction, albo publicystykę obwarowaną aparatem naukowym, czyli rozlicznymi przypisaniami i odwołaniami do źródeł. Tyle że te źródła najczęściej nie mają większej wartości naukowej, w niczym nie kwalifikują się na potrzeby warsztatu historyka. I mogą stanowić jedynie uzupełniającą ciekawostkę.

Tylko że co ma zrobić historyk, jeśli dysponuje wyłącznie takim materiałem? Po prostu zaryzykować, nie oczekując jednak nadmiernych pochwał i skazując swoje dzieło na publicystyczną, a nie naukohistoryczną ciekawostkę. Konstatuję to ze smutkiem po lekturze książki Barbary Fijałkowskiej *Borejsza i Różański. Przyczynek do dziejów stalinizmu w Polsce*. Bo oto rzeczywiście mamy do czynienia z próbą naukowej prezentacji dwóch dramatycznych biografii postaci drugoplanowych polskiego życia politycznego pierwszej połowy naszego stulecia. Dwóch postaci, o których już wiele napisano, ale właśnie w kontekście publicystyki, w kontekście pamiętnikarskich i wspomnieniowych zapisów. A przez to niesłychanie stronniczo, jednowymiarowo i wrywkowo.

Biografie Jerzego Borejszy i Józefa Różańskiego od lat pięćdziesiątych służyły bowiem za ilustrację ukazującą nie tyle mechanizm, co sposób działania stalinizmu w polskim wydaniu. Były też wzorem swoistych politycznych karier i przegranych tej części kulturowo zasymilowanej żydowskiej inteligencji, która bezkrytycznie poddała się rygorom komunistycznej ideologii.

Być może w przypadku Borejszy i Różańskiego jest to przykład nazbyt drastyczny, bynajmniej jednak nie jednostkowy. Za to z całą pewnością wzorcowy. Może też dlatego wzbudzał i nadal wzbudza tyle zainteresowania zarówno publicystów, jak i historyków. Tyle że obie te biografie każą więcej się domyślać, wpisywać trudno sprawdzalne interpretacje w miejsce białych plam biograficznych. Fijałkowska świadoma tego, stara się jako historyk mimo wszystko ograniczać do minimum zapełnianie białych plam własnymi domysłami. Nie oznacza to bynajmniej, że udało jej się tego uniknąć. Ale przez to, mimo całego warsztatu przypisów i odwołań do dostępnych źródeł, nie zawsze odpowiadających wymogom naukowym, wpada w pułapkę publicystycznej narracji. Na-

zbyt też łatwo zawiera wyznaniom swoich interlokutorów, wspomnieniowym zapisom, które były poddawane nie tylko cenzurze wewnętrznej autorów, dziwnie nazbyt często cierpiących na amnezję, ale i cenzurze zewnętrznej. A ta – jak pamiętamy – przez wszystkie tamte lata pilnie strzegła, aby prawda była całkowicie podporządkowana aktualnej i obowiązującej interpretacji ideologicznej.

Fijałkowska, kreśląc portrety biograficzne braci Goldbergów, Niomy i Jacka, czyli późniejszych Jerzego Borejszy i Józefa Różańskiego, postanowiła pierwszego z nich ukazać jako mimo wszystko bohatera pozytywnego, drugiego zaś negatywnego. Skłaniały ją do tego nie tyle same ich dokonania, ile sugerowanie się ocenami innych. Bo choć Borejsza miał swoich wrogów, którzy nie szczędzili mu, choćby w swoich wspomnieniowych zapisach, uwag krytycznych i ocen niesprawiedliwych, postrzegali jednak jego zasługi dla kultury polskiej w pierwszych latach powojennych. O Różańskim nikt nie wyrażał się pozytywnie. Myślę jednak, że obaj bracia mimo wszystko o to nie dbali. Po prostu do końca wierzyli w słuszność swoich poczynań. Do końca wierzyli również w słuszność samej idei komunistycznej, której służyli bez zastrzeżeń.

W słowie odautorskim Fijałkowska podkreśla, iż książki tej nie pisała na niczyje zamówienie, że jej jedynym „celem jest próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób, jakimi metodami (poza terrorem) stalinizm odhumanizowywał humanistów, czynił z inteligentów wrogów kultury i człowieczeństwa w ogóle”. Trywializując odpowiedź na tak postawione zagadnienie, bez popełnienia większego błędu, można stwierdzić, że na zasadzie zwykłych reguł każdego systemu totalitarnego. Bez względu na kolor wywieszanego sztandaru i symboli podawanych do czczenia. Nazbyt to jednak uproszczona odpowiedź, nie do końca dająca się uzasadnić, nie tyle w kategoriach socjologicznych, ile psychologicznych. Tylko że historyk nie może sobie pozwolić na kreślenie portretu czysto psychologicznego. Nie pozwalają mu na to fakty, które jako jedyne poddające się weryfikacji, mogą służyć za konstrukcję analizy intelektualnej.

Stąd Fijałkowska, skrupulatnie odtwarzając obie biografie, ucieka się równocześnie do dygresji, sięga po przykłady z biografii innych działaczy komunistycznych, chcąc w ten sposób zwrócić uwagę na określony i przyjęty schemat zachowań i postaw ludzi związanych z ówczesnym reżimem. Tylko że mimo wszystko nie tłumaczy to, ani też nie usprawiedliwia postaw przyjętych przez braci Goldbergów. Być może autorka nazbyt zawierzyła ich zeznaniom i rozlicznym okolicznościowym oświadczeniom personalnym. Szczególnie wypowiedziom Różańskiego, który mając świadomość uczestniczenia w złe, broni siebie oskarżając innych. I miał do tego prawo. Ostatecznie uświadomione zło wymaga swoistego rodzaju ekspiacji. A na taką Różański nie mógł i nie chciał sobie pozwolić. Ekspiacja równałaby się bowiem potępieniu nie tylko ideologii, ale i idei, której służył i w którą głęboko wierzył.

Fijałkowska w pierwotnym zamyśle chciała jedynie napisać książkę o Borej-szy, pod tym też kątem przeprowadzała w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych rozmowy z Różańskim. Kiedy jednak zdecydowała się również na pisanie biografii Różańskiego, było już za późno, aby pod innym kątem odpytywać tego człowieka. Dlatego też portret Różańskiego wyszedł niepełny i wbrew zamierzeniom autorki nie dający satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego człowiek ten stał się tym kim się stał. Dlaczego właśnie on miał posłużyć za jeden z wiodących symboli stalinizmu w Polsce. A nie choćby Fejgin czy Romkowski, którzy akurat w tej całej machinie ubeckiego bezprawia byli o wiele ważniejszymi osobistościami.

Nie uniknęła też autorka błędów rzeczowych. I tak np. pisząc o roli pisarzy i publicystów w akcji demaskowania stalinizmu, jakoby w pełni odgórnie zainspirowanej, stwierdza: „Polska «odwilż» zaczęła się rozwijać zgodnie z własną logiką, narzuconą jej przez pokolenie młodych, utalentowanych idealistów-reformatorów. O ile autor «Odwilży» (Ilia Erenburg p.m.) miał w chwili napisania tej książki 63 lata, to polskiej literaturze rozliczeniowej nadawały ton pokolenia dwudziesto- i trzydziestolatków. Jerzy Andrzejewski czy Kazimierz Brandys mieli wówczas niewiele ponad trzydzieści lat. Marek Hłasko, Wiktor Woroszyłski i cały zespół redakcyjny «Po Prostu» byli to ludzie dwudziestoparoletni” (s. 208).

No cóż, jeśli chodzi o ówczesny wiek Hłaski, zgoda. Jeśli zaś chodzi o Woroszyłskiego i niektórych członków zespołu redakcyjnego „Po Prostu”, to już nie do końca prawda. A w żadnym wypadku ani Andrzejewski, ani Brandys nie byli wówczas niewiele po trzydziestce. Wystarczy sprawdzić daty urodzenia. Pierwszy to rocznik 1909, drugi – 1916.

Myślę też, że autorka zbyt pochopnie stwierdza, że w okresie polskiej odwilży lat 1955–1957 „otwierało się szerokie pole działania dla literatów, publicystów, którym nagle przywrócono odebrane wcześniej swobody twórcze” (s. 208). Jeśliby przyjąć przenośnię, to zaledwie uchylono lufcik, aby przewie-trzyć i przy okazji sprawdzić, komu jest duszno.

W sumie zaprezentowane zostały dwie dramatyczne biografie ludzi, którzy przegrali wszystko zawierzywszy bezkrytycznie narzuconej im ideologii. Nie udało się jednak autorce odpowiedzieć na drugi człon pytania. Ale może dlatego, że nie ma na nie jak na razie jednoznacznej odpowiedzi. Nie ma i myślę, że długo jeszcze nie będzie. A kto wie, czy w ogóle będzie można taką odpowiedź znaleźć. Wszystko pozostaje bowiem w sferze domysłów i interpretacji.

Tadeusz J. Żółciński